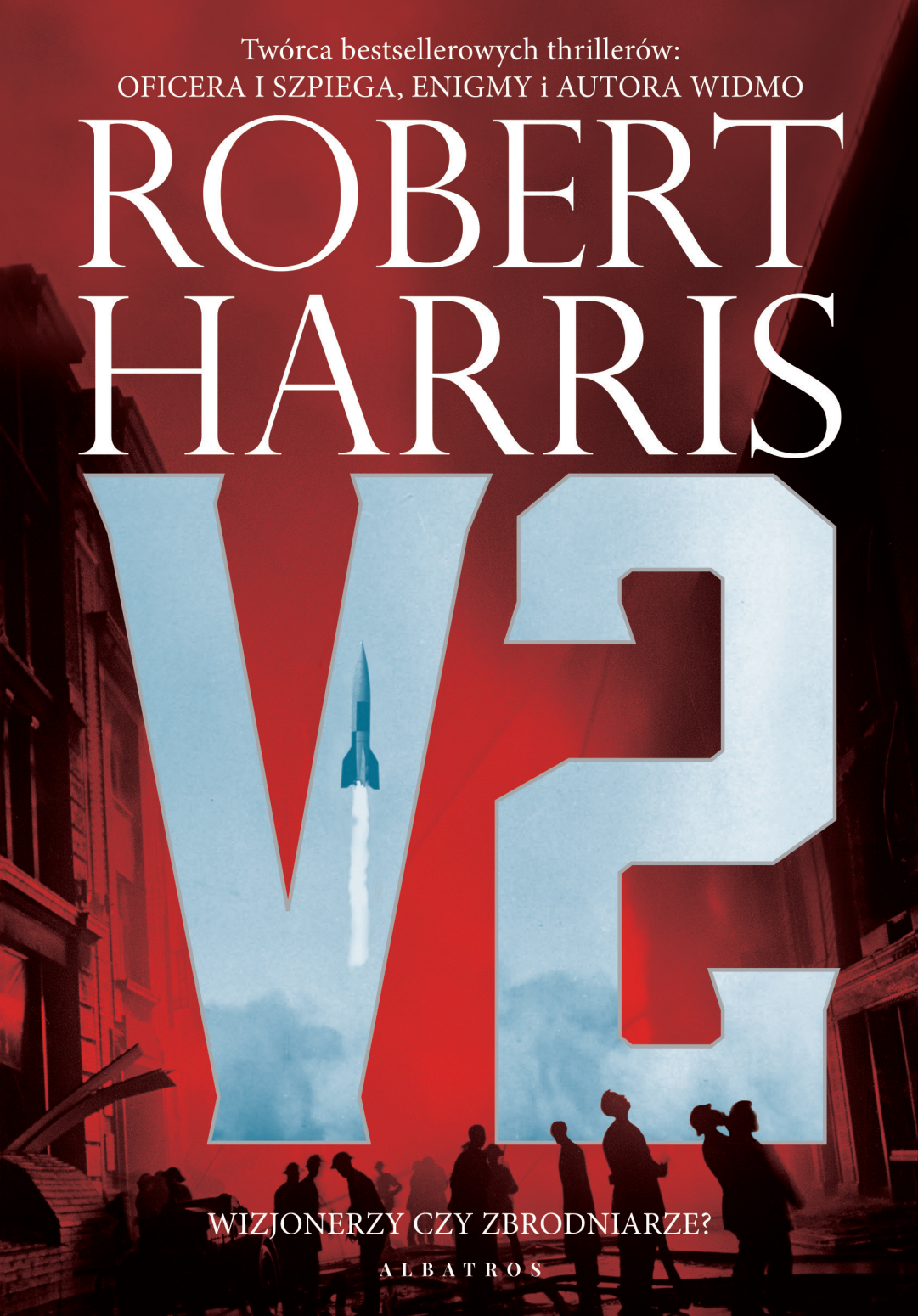


Twórca bestsellerowych thrillerów:
OFICERA I SZPIEGA, ENIGMY i AUTORA WIDMO

ROBERT
HARRIS

W2



WIZJONERZY CZY ZBRODNIARZE?

ALBATROS

Tytuł oryginału:
V2

Copyright © Canal K 2020
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2021

Polish translation copyright © Janusz Ochab 2021

Redakcja: Joanna Kumaszevska

Zdjęcia na okładce:

Air Raid near Piccadilly, London by George Greenwell/Mirrorpix/Getty Images;
V2 missile launching by Popperfoto/Contributor/Getty Images

Projekt graficzny okładki oryginalnej: Jenny Carrow

Opracowanie graficzne okładki polskiej: Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



1

W sobotni ranek pod koniec listopada 1944 roku w baraku kolejowym na terenie holenderskiego nadmorskiego kurortu Scheveningen trzy pociski balistyczne, każdy o długości niemal piętnastu metrów, leżały nieruchomo na stalowych łożach, niczym szpitalni pacjenci otoczeni szczególnie troskliwą opieką. Umieszczone w obudowie pocisków klapy były podniesione, a ukryte pod nimi panele podłączone do monitorów, którym przyglądali się technicy w bezkształtnych kombinezonach z szarego drelichu, jakich używano w niemieckiej armii.

Ta zima – szósta zima wojny – była szczególnie ciężka. Wydawało się, że ziąb wypływa wprost z betonowej podłogi, przenika przez najgrubsze nawet podeszwy i sięga do szpiku kości. Jeden z mężczyzn odsunął się od stołu i przez chwilę tupał mocno w miejscu, próbując pobudzić krążenie krwi w zmarzniętych stopach. Jako jedyny nie miał na sobie uniformu. Jego przedwojenny granatowy garnitur, z kilkoma piórami zatkniętymi w kieszonce na piersi, i wysłużony kraciasty krawat świadczyły jednoznacznie o tym, że jest cywilem – może nauczycielem matematyki albo młodym wykładowcą

uniwersyteckim na wydziale którejś z nauk ścisłych. Dopiero olej pod obgryzionymi paznokciami mężczyzny wskazywał na jego prawdziwą profesję – no tak, inżynier.

Słyszał Morze Północne, odległe zaledwie o sto metrów, szum fal nacierających na plażę, krzyk mew miotanych wiatrem. Jego umysł wypełniały wspomnienia – prawdę mówiąc, zbyt wiele wspomnień; miał ochotę włożyć do uszu zatyczki, by się od nich uwolnić. Ale wtedy jeszcze bardziej rzuciłby się w oczy, a poza tym musiałby je co chwila wyjmować, bo raz po raz zadawano mu przeróżne pytania – a to o jednostkę napędową, a to o ciśnienie w zbiorniku z alkoholem, a to o obwody elektryczne przełączające zasilanie rakiety z naziemnego na wewnętrzne.

Zajął się ponownie pracą.

Dochodziło wpół do jedenastej, gdy jedno skrzydło wielkich stalowych drzwi po drugiej stronie baraku przesunęło się na podpierających je wałkach, a stojący w pobliżu żołnierze stanęli na baczność. Smagany zimnym deszczem, do wnętrza wszedł pułkownik Walter Huber, dowódca pułku artylerii. Towarzyszył mu drugi mężczyzna, w czarnym skórzanym płaszczu ze srebrnymi insygniami SS na klapie.

– Graf! – wrzasnął pułkownik.

Odwróć się, podpowiadał Grafowi instynkt. Weź do ręki lutownicę, pochyl się nad stołem, udawaj, że jesteś zajęty.

Wiedział jednak, że przed Huberem nie ma ucieczki. Głos pułkownika niósł się przez hangar dźwięcznie i wyraźnie niczym na placu defilad.

– Więc tu się chowasz! Mam tu kogoś, kto chciałby cię poznać. – Jego skórzane oficerki skrzypiały głośno, gdy szedł przez warsztat. – To jest Sturmscharführer Biwack z Biura

Przywództwa Partii Narodowosocjalistycznej – powiedział, lekko wypychając mężczyznę do przodu. – A to doktor Rudi Graf z Wojskowego Ośrodka Badawczego w Peenemünde. Jest naszym technicznym oficerem łącznikowym.

Biwack podniósł rękę w hitlerowskim powitaniu; Graf odpowiedział mu tym samym, choć z pewną powściągliwością. Słyszał o oficerach BPPNS, ale dotąd nie poznał żadnego osobiście – w istocie byli to komisarze partii nazistowskiej, których na rozkaz Führera wcielono niedawno do wojska, by dbali o ducha walki w armii. Uważano ich za prawdziwych fanatyków, gotowych do największych poświęceń. Wydawało się, że im gorzej wygląda sytuacja na froncie, tym więcej takich ludzi pojawia się wśród żołnierzy.

Esesman zmierzył Grafa wzrokiem. Miał około czterdziestu lat i sprawiał wrażenie miłego. Nawet się uśmiechnął.

– Więc jest pan jednym z tych geniuszy, którzy wygrają dla nas wojnę?

– Wątpię.

– Graf wie o tej rakiecie wszystko – zareagował szybko Huber. – Może pana wprowadzić w temat. – Odwrócił się do Grafa. – Sturmscharführer Biwack dołączy do mojego sztabu. Uzyskał pełny certyfikat bezpieczeństwa. Może pan mu mówić o wszystkim.

Spojrzał na zegarek. Graf widział, że pułkownik chce się jak najszybciej oddalić. Był żołnierzem ze starej pruskiej szkoły, oficerem artylerii walczącym w pierwszej wojnie światowej – należał więc do grupy, która budziła szczególne podejrzenia po nieudanym zamachu na Hitlera. Ostatnią rzeczą, jakiej teraz potrzebował, był nazistowski szpieg wsłuchujący się w każde

jego słowo.

– Jeden z plutonów Seidla ma odpalać za pół godziny. Może się tam wybiec, panowie? – zaproponował i skinął głową, próbując zachęcić gościa. – Doskonale! – rzucił i ruszył pośpiesznie do wyjścia.

Biwack wzruszył ramionami i spojrzał porozumiewawczo na Grafa: „Ach, te stare wygi... Ale co zrobić?”. Wskazał głową na stół.

– Więc nad czym pan teraz pracuje?

– Nad transformatorem z jednostki sterującej. Nie lubią takiego zimna.

– A kto lubi?

Sturmscharführer oparł ręce na biodrach i rozejrzał się po baraku. Jego spojrzenie spoczęło na jednej z rakiet. Oficjalna nazwa pocisku brzmiała Vergeltungswaffe Zwei. Broń odwetowa 2. V2.

– Mój Boże, to prawdziwa ślicznotka. Oczywiście sporo o nich słyszałem, ale jeszcze nie widziałem żadnej na własne oczy. Bardzo chciałbym obejrzeć, jak ją wypuszczają. Nie ma pan nic przeciwko?

– Oczywiście, że nie.

Graf westchnął w duchu i ściągnął z kołków przy drzwiach kapelusz, szalik i płaszcz.

Wiatr od morza niósł krople deszczu i piany, wciskał się w boczne uliczki między opustoszałymi hotelami. Molo spłonęło w zeszłym roku. Poczerniałe żelazne pale wystawały nad spienione grzbiety fal niczym maszty zatopionego statku. Plażę przecinały zasieki z drutu kolczastego i bariery przeciwczołgowe. Kilka poszarpanych, jeszcze przedwojennych plakatów turystycznych

na budynku dworca kolejowego ukazywało dwie rzucające do siebie piłką eleganckie kobiety w prążkowanych kostiumach kąpielowych i kapelusikach z filcu. Mieszkańcy miasta zostali z niego wyrzuceni. W okolicy nie było nikogo prócz żołnierzy, a jedynymi pojazdami, które się tu poruszały, były wojskowe ciężarówki i wielkie transportery służące do przewozu rakiet. W drodze do miejsca odpalenia pocisku Graf tłumaczył swojemu gościowi, jak z grubsza wygląda cała operacja. Pociski raketowe V2 przywożono koleją z fabryki w Niemczech; zwykle robiono to nocą, pod osłoną ciemności, by uniknąć ataków wrogiego lotnictwa. W ciągu tygodnia do miasteczka przybywały dwa lub trzy pociągi wiozące po dwadzieścia pocisków, wszystkie przeznaczone do ataków na Londyn. Tyle samo rakiet kierowano na Antwerpię, te odpalano jednak w Niemczech. SS realizowało własną operację w Hellendoorn. Baterie artyleryjskie w Hadze miały wystrzeliwać swoje pociski w ciągu pięciu dni od przyjęcia dostawy.

– Skąd ten pośpiech? – spytał Biwack.

– Bo im dłużej są narażone na działanie wilgoci i zimna, tym częściej występują w nich usterki – odparł Graf.

– Mamy dużo takich usterek? – Sturmscharführer zapisywał jego odpowiedzi w notesie.

– Tak, dużo. Za dużo!

– Dlaczego?

– To rewolucyjna technologia, co oznacza, że musimy ją stale udoskonalać. Wprowadziliśmy już ponad sześćdziesiąt tysięcy poprawek do prototypu. – Graf chciał dodać, że zaskakująca jest raczej liczba rakiet, które wzbiły się w powietrze, a nie tych, które nie odpaliły. Rozmyślił się jednak, bo uznał, że nie będzie

to dobrze wyglądało w notesie esesmana. – Dlaczego pan tak dużo pisze, jeśli wolno spytać? Przygotowuje pan raport?

– Nie, skądże. Chcę tylko mieć pewność, że wszystko dobrze rozumiem. Długo pracuje pan przy rakietach?

– Szesnaście lat.

– Szesnaście lat! Patrząc na pana, trudno w to uwierzyć. Ile pan ma lat?

– Trzydzieści dwa.

– Tyle samo co profesor von Braun. Byliście razem na poligonie w Kummersdorfie, prawda?

Graf zerknął na niego z ukosa. Więc sprawdzał też von Brauna. Poczuł lekki niepokój.

– Zgadza się.

– To niezwykle, że wszyscy specjaliści od rakiet są tacy młodzi! – Biwack się roześmiał.

Opuścili ciasne uliczki miasta i weszli na zadrzewione przedmieścia. Scheveningen leżało wśród lasów i jezior. Graf często rozmyślał o tym, jak atrakcyjnie musiało wyglądać to miejsce w czasach pokoju. Z tyłu dobiegł dźwięk klaksonu, zeszli więc pospiesznie na pobocze. Chwilę później minął ich transporter wiozący V2 umocowane na hydraulicznie sterowanym łożu – najpierw stateczniki, tuż za kabiną, potem długi kadłub i na końcu, wystający za przyczepę, dziób z głowicą o wadze jednej tony. Śladem transportera jechały cysterny okryte siatką maskującą. Graf złożył dłonie i krzyknął do ucha Biwacka, gdy mijały ich kolejne pojazdy:

– To alkohol metylowy... to ciekły tlen... nadtlenuk wodoru! Przywożą to wszystko tymi samymi pociągami co pociski! Przetaczamy paliwo do rakiety w miejscu startu!

Gdy ostatnia ciężarówka zaopatrzenia zniknęła za rogiem, mężczyźni podjęli przerwany marsz.

– Nie obawiacie się nieprzyjacielskich bombowców? – spytał Sturmscharführer.

– Oczywiście, dzień i noc! Na szczęście jeszcze nas nie znaleźli.

Graf spojrział w górę. Zdaniem meteorologów Wehrmachtu w weekend nad północną Europą przechodził front niżowy. Niebo zakrywały ciężkie szare chmury, z których sączył się zimny deszcz. RAF nie latał w taką pogodę.

Nieco dalej, za linią drzew, zatrzymano ich na posterunku. Drogę blokował szlaban, obok którego stał wartownik. Graf zerknął w głąb lasu. Między ociekającymi wodą drzewami przechadzał się żołnierz z wielkim owczarkiem alzackim na smyczy. Pies podniósł nogę i spojrział na niego. Jeden z esesmanów stojących na warcie zarzucił karabin na ramię i wyciągnął rękę.

Choć Graf był tutaj już setki razy, strażnicy zawsze zachowywali się tak, jakby bawiło ich udawanie, że nigdy wcześniej go nie widzieli. Sięgnął do wewnętrznej kieszeni po portfel, otworzył go i wyjął przepustkę. Z przegródki wysunęła się również mała fotografia, którą wiatr poniósł na drugą stronę drogi. Nim mógł się cofnąć i po nią sięgnąć, zrobił to Biwack. Spojrział na zdjęcie i uśmiechnął się.

– To pańska żona?

– Nie. – Graf nie chciał, by fotografia tkwiła w dłoni esesmana choćby o sekundę dłużej. – Była moją dziewczyną.

– Była? – Sturmscharführer przywołał na twarz wyćwiczony przez lata wyraz współczucia. – Przykro mi.

Oddał zdjęcie, a Graf ostrożnie schował je do portfela.

Widział, że esesman oczekuje pełniejszego wyjaśnienia, ale wcale nie miał ochoty go udzielać. Strażnik podniósł szlaban.

Droga, wzdłuż której ciągnął się szpaler dekoracyjnych latarni, biegła prosto między drzewami okrytymi siatką maskującą. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że otaczający ich las jest całkiem pusty, ale gdy przeszli nieco dalej, stało się oczywiste, że przy drózkach odbiegających w prawo i lewo od głównego traktu kryje się cała baza pułku – namioty służące jako magazyny i inne, służące do badań, mnóstwo pojazdów, kilkanaście pocisków ułożonych pod drzewami i przykrytych siatką maskującą. W wilgotnym powietrzu niosły się krzyki, pomruk generatorów i warkot silników. Biwack przestał zadawać pytania i szedł naprzód, ogromnie podekscytowany. Grunt po lewej stronie wyraźnie opadał, a pomiędzy gałęziami drzew prześwitywała tafla jeziora, szara i matowa jak ołów, z wyspą i ozdobnym hangarem na łodzie pośrodku. Gdy pokonali kolejny, łukowaty, odcinek drogi, Graf podniósł rękę, dając znać, że powinni się zatrzymać.

Dwieście metrów dalej, pośrodku alejki, prawie niewidoczna za sprawą brązowo-zielonego kamuflażu, znajdowała się rakietą V2, ustawiona pionowo na wyrzutni, obok stalowego masztu, z którym łączył ją przewód elektryczny. Dokoła panował całkowity bezruch. Ze zbiornika z ciekłym tlenem wypływał bezgłośnie cienki strumyk pary, który skraplał się w wilgotnym powietrzu niczym oddech. Wyglądało to tak, jakby natknęli się w dzicz na ogromne, imponujące zwierzę.

– Nie możemy podejść bliżej? – spytał Biwack, odruchowo ścisząc głos.

– To najmniejsza bezpieczna odległość – wyjaśnił Graf.

– Zauważył pan pewnie, że wycofano pojazdy wsparcia? To oznacza, że załoga wyrzutni jest już w swoich okopach. – Sięgnął do kieszeni płaszcza i wyjął nauszники ochronne. – Powinien pan to założyć.

– A pan?

– Poradzę sobie bez nich.

Esesman machnął ręką.

– Więc ja też.

Rozległ się klakson. Jakiś wystraszony ptak łowny – Graf pomyślał, że musiał to być wyjątkowo sprytny okaz, bo żołnierze zabijali dzikie zwierzęta, uzupełniając ich mięsem swoje racje żywnościowe – wyrwał się z podszycia i pofrunął niezdarnie nad drogą. Jego przerażone wrzaski brzmiały jak spóźnione echo klaksonu.

– Waży cztery tony, gdy jest pusta, a dwanaście i pół po napełnieniu jej paliwem – powiedział Graf.

Z głośnika wydobył się skrzekliwy głos:

– Dziesięć... dziewięć... osiem... siedem...

Spod podstawy rakiety zaczęły sypać się snopy iskier i nagle połączyły się w strumień jasnopomarańczowego ognia. Liście, gałązki, drobne kamyki i grudki ziemi wzbily się w powietrze i rozleciały na wszystkie strony, odpychane od środka polany. Graf odwrócił się i zawołał:

– Po zapłonie paliwo jest dostarczane opadowo, siłą grawitacji! To daje ciąg o sile ośmiu ton, wciąż mniej, niż waży rakietą. Kiedy już silnik działa jak należy, włączają turbopompę, a wtedy ciąg wzrasta do dwudziestu pięciu...

– ...trzy... dwa... jeden!

Ostatnie słowa Grafa zagłuszył potężny ryk. Zasłonił uszy

dłońmi. Przewód odpadł od kadłuba. Mieszanka alkoholu i ciekłego tlenu, wepchnięta przez turbopompę do komory spalania i zużywana w tempie jednej tony na siedem sekund, wytwarzała – tak przynajmniej twierdzono w Peenemünde – najgłośniejszy dźwięk, jaki kiedykolwiek rozbrzmiewał na świecie za sprawą człowieka. Wydawało się, że całe ciało Grafa drży wraz z falami dźwiękowymi. Gorące powietrze smagało go po twarzy. Drzewa otaczające polanę lśniły odbitym blaskiem ognia.

Bez względu na to, jak często oglądał start rakiety, zawsze ogarniał go podziw i strach, mimowolnie obawiał się również, że może dojść do awarii. Początkowo, niczym sprinter jeszcze przez ułamek sekundy tkwiący w blokach startowych po sygnale startera, V2 trwała w bezruchu, po czym gwałtownie wystrzeliła prosto w górę, ciągnąc za sobą piętnastometrowy strumień ognia. Z nieba spłynął ogłuszający huk i przetoczył się przez las. Graf odchylił głowę, by śledzić lot rakiety; liczył w myślach, modląc się, by nie eksplodowała. Jedna sekunda... dwie sekundy... trzy... Dokładnie w czwartej sekundzie lotu w jednej z komór kontrolnych aktywował się przełącznik czasowy i rakietą, która znajdowała się wtedy ponad półtora kilometra nad ziemią, zaczęła się przechylać i ustawiać pod kątem czterdziestu siedmiu stopni. Graf zawsze żałował, że musi dochodzić do tego manewru. W jego marzeniach rakietą wznosiła się pionowo, prosto ku gwiazdom. Jeszcze przez moment widział jej czerwony ogon, nim zniknęła w niskich chmurach, zmierzając w stronę Londynu.

Opuścił ręce. W lesie znów panowała cisza. Jediną pozostałością po V2 był odległy pomruk, ale i on wkrótce

ucichł, zastąpiony śpiewem ptaków i odgłosem kropel deszczu uderzających o liście. Członkowie plutonu ogniowego wyszli z okopów i zmierzali ku wyrzutni. Dwaj żołnierze w azbestowych skafandrach poruszali się sztywno i powoli, niczym nurkowie głębinowi.

Biwack powoli odsunął dłonie od uszu. Jego twarz była zaczerwieniona, oczy lśniły nienaturalnym blaskiem. Po raz pierwszy tego ranka oficer z Biura Przywództwa Partii Narodowosocjalistycznej nie mógł wydobyć z siebie głosu.

2

Sześćdziesiąt pięć sekund po starcie, na wysokości trzydziestu siedmiu kilometrów i przy prędkości czterech tysięcy kilometrów na godzinę, pokładowy prędkościomierz odcinał dopływ paliwa do silnika V2 i aktywował przełącznik, który uzbrajał głowicę. Pozbawiona napędu rakieta była teraz pociskiem balistycznym, opadającym po takiej samej parabolicznej krzywiźnie jak kamień wyrzucony z katapulty. Wciąż nabierała prędkości. Kurs V2 został ustalony na dwieście sześćdziesiąt stopni, a jej celem był dworzec kolejowy Charing Cross, uważany za sam środek Londynu; za celne uznawano trafienie w promieniu ośmiu kilometrów od tego punktu.

Mniej więcej w tym samym momencie dwudziestoczworoletnia Kay Caton-Walsh – właściwie miała na imię Angelica, ale wszyscy mówili do niej Kay, od Caton – wyszła z łazienki mieszkania przy Warwick Court, spokojnej wąskiej uliczce odchodzącej od Chancery Lane w dzielnicy Holborn, półtora kilometra od Charing Cross. Owinięta niewielkim różowym ręcznikiem, który przywozła ze sobą ze wsi, niosła w ręce kosmetyczkę z mydłem, szczoteczką do zębów, pastą i jej ulubionymi perfumami, l'Heure

Bleue Guerlaina, którymi spryskała właśnie obficie skórę za uszami i po wewnętrznej stronie nadgarstków.

Sycąc się dotykiem dywanu pod bosymi stopami – nie pamiętała już, kiedy ostatnio miała okazję doznać tego luksusu – przeszła korytarzem do sypialni. Na łóżku leżał mężczyzna z wąsami, który palił papierosa i obserwował ją spod półprzymkniętych powiek. Włożyła kosmetyczkę do walizki i zrzuciła z siebie ręcznik.

– Mój Boże, co za widok! – Mężczyzna uśmiechnął się, podsunął nieco wyżej na poduszce i odrzucił na bok kołdrę i koce. – Chodź tutaj.

Przez moment miała ochotę to zrobić, ale przypomniała sobie, jak twardy jest jego zarost, nim się ogoli, i jak mocno czuć od niego rano tytoniem i alkoholem. Poza tym zawsze wołała odpowiednio się nastawić na przyjemności – seks, jej zdaniem, był w co najmniej takim samym stopniu sprawą umysłu, jak ciała. Poza tym wciąż mieli przed sobą popołudnie, wieczór i noc, a być może nawet – prawdopodobnie po raz ostatni przed długą przerwą – kolejny poranek. Uśmiechnęła się i pokręciła głową.

– Muszę kupić mleko – odpowiedziała.

Kiedy sfrustrowany, osunął się na łóżko, podniosła z dywanu swoją bieliznę – nowiutką, brzoskwiniową, kupioną z myślą o tym, co Anglicy nazywali „brudnym weekendem”. Dlaczego właściwie używamy tego określenia? – zastanawiała się. Dziwny z nas naród. Zerknęła przez okno. Przy Warwick Court, ulicy biegnącej między Lincoln’s Inn i Gray’s Inn, mieściły się głównie kancelarie prawnicze – dlatego zawsze wydawało jej się, że to dziwne miejsce na mieszkanie. W sobotni poranek było tu

cicho i spokojnie. Deszcz ustał. Świeciło słabe zimowe słońce. Od strony Chancery Lane dochodziły odgłosy ruchu ulicznego. Przypomniła sobie o sklepie spożywczym na rogu, po drugiej stronie. Z myślą, że tam pójdzie, zaczęła się ubierać.

Sto sześćdziesiąt kilometrów dalej na wschód pocisk V2 osiągnął właśnie maksymalną wysokość dziewięćdziesięciu trzech kilometrów – granicę ziemskiej atmosfery – i pędził przez chwilę z prędkością pięciu tysięcy sześciuset kilometrów na godzinę pod kopułą gwiazd, nim grawitacja zaczęła go ponownie ściągać ku powierzchni planety. Dziób pocisku powoli przechylił się w dół i zaczął opadać ku Morzu Północnemu. Choć raz po raz targały nim boczne wiatry i turbulencje, para żyroskopów umieszczonych tuż pod głowicą wykrywała wszelkie odstępstwa od kursu i korygowała trajektorię lotu, wysyłając sygnały elektryczne do czterech piór steru w statecznikach. W chwili gdy Kay przypinała drugą pończochę, pocisk przeleciał nad angielskim wybrzeżem, trzy kilometry na północ od Southend-on-Sea, a kiedy wciągała sukienkę przez głowę, przemknął nad Basildon i Dagenham. O jedenastej dwanaście przed południem, cztery minuty i pięćdziesiąt jeden sekund po wystrzeleniu, przemieszczając się z prędkością niemal trzykrotnie większą od prędkości dźwięku, zbyt szybko, by mógł go dojrzeć ktokolwiek z ziemi, spadł na Warwick Court.

Obiekt poruszający się z prędkością ponaddźwiękową zagęszcza atmosferę. W nieprawdopodobnie krótkim ułamku sekundy przed tym, jak czubek dotknął dachu wiktoriańskiej kamienicy i czterotonowy pocisk przebił się przez wszystkie pięć pięter, Kay wyczuła – praktycznie nieświadomie, zanim zdołała nazwać w myślach to doznanie – jakąś zmianę w ciśnieniu

powietrza, zapowiedź zagrożenia. Potem dwa okryte silikonową osłoną metalowe styki zapalnika pocisku, zmiażdżone siłą uderzenia, połączyły się w jedną całość i zamknęły obwód elektryczny, który detonował tonę materiału wybuchowego amatol. Wydawało się, że sypialnia wyparowała nagle w ciemność. Kay słyszała huk eksplozji, zgrzyt rozdzieranej stali i trzask pękającego kamienia, gdy kadłub i fragmenty dziobu przebijały się przez kolejne piętra. Kawałki sufitu opadły wokół niej z łoskotem, sekundę później dotarł do niej grom dźwiękowy, a po nim fala uderzeniowa.

Potężny podmuch powietrza oderwał ją od podłogi i rzucił na ścianę sypialni. Leżała na boku, przytomna, lecz pozbawiona tchu i dziwnie spokojna. Doskonale wiedziała, co się stało. Więc tak to wygląda, pomyślała. Wiedziała, że jeśli siła wybuchu była na tyle duża, by poważnie naruszyć fundamenty, to cały budynek zaraz runie. W pokoju było ciemno od kurzu. Po chwili wyczuła lekki powiew powietrza i trzepotanie jakiegoś przedmiotu. Wyciągnęła rękę i dotknęła dywanu. Poczuła szkło pod palcami i szybko cofnęła dłoń. Eksplozja wyrwała okno. Wiatr poruszał zasłonami. Gdzieś na zewnątrz krzyczała kobieta. Co kilka sekund rozlegał się rumor opadających cegieł i kamieni. Czuła śmiertelnie niebezpieczny słodkawy zapach gazu.

– Mike?

Nikt jej nie odpowiedział. Zawołała ponownie, głośniejsze:

– Mike?

Spróbowała usiąść prosto. W pokoju panował półmrok. W smudze jasnoszarego światła wpadającego przez okno wirowały cząsteczki sproszkowanych cegieł i tynku. Toaletka, krzesła czy obrazy przybrały postać przekrzywionych ciemnych kształtów.

Nad drewnianym wezglowiem łóżka pojawiło się zygzakowate pęknięcie, biegnące od podłogi do sufitu. Wzięła głęboki oddech, by zebrać siły, i wciągnęła w płuca obłoczek pyłu. Kaszląc głośno, chwyciła się zasłony, podciągnęła na równe nogi i ruszyła chwiejnym krokiem przez gruz w stronę łóżka. W poprzek materaca leżała stalowa belka, która spadła z sufitu. Puchową kołdrę przykryły wielkie kawałki tynku, drewna i końskiego włosia. Musiała odrzucić je na bok, by odsłonić tułów Mike'a. Leżał z głową odwróconą od niej. Kołdra była przesiąknięta czymś jasnoczerwonym, co w pierwszym momencie wzięła za krew, szybko zrozumiała jednak, że to ceglany pył.

– Mike?

Sięgnęła do jego szyi, by zbadać puls, i w tym momencie odwrócił się do niej, jakby wcześniej chciał ją tylko nastraszyć. Jego twarz była nienaturalnie blada, ciemne oczy miał szeroko otwarte. Pocałowała go i pogłaskała po policzku.

– Jesteś ranny? Możesz się ruszać?

– Chyba tak. A co z tobą? Wszystko w porządku?

– Nic mi nie jest. Możesz spróbować wstać, kochanie? Gaz się ulatnia. Musimy stąd jak najszybciej wyjść.

Wsunęła ręce pod jego pachy, pochwyciła jego umięśnione ciało i pociągnęła. Poruszał ramionami do przodu i do tyłu, próbując się wydostać. Jego twarz wykrzywiła się w grymasie bólu.

– Coś leży mi na nogach.

Podeszła do stalowej belki na końcu łóżka i pochwyciła ją obiema rękami. Gdy przesunęła ją odrobinę, Mike syknął z bólu przez zaciśnięte zęby.

– Zostaw to, na miłość boską!

- Przepraszam. – Poczuła się bezsilna.
- Idź, Kay. Proszę. Powiedz im po prostu, że mamy tu wyciek gazu.

Słyszała w jego głosie nutę paniki. Mówił jej kiedyś, że najgorsze wspomnienie z jego lotniczej kariery wcale nie wiązało się z walką: był to widok człowieka płonącego żywcem w rozbitym samolocie po nieudanym lądowaniu – fragment wraku przygniótł mu nogi, a nie mogli podejść na tyle blisko, by go wyciągnąć. „Do dziś żałuję, że nie mogłem go zastrzelić”.

Z dołu dobiegł dźwięk dzwonu straży pożarnej.

- Sprowadzę pomoc. Ale nie zostawię cię, obiecuję.

Przedarła się przez wypełnioną gruzem sypialnię do korytarza. Gruby dywan niknął pod płatami tynku. Tutaj zapach gazu był znacznie silniejszy – do przecieku musiało dojść w kuchni – wydawało się również, że podłoga nieco się przechyliła. Światło dnia sączyło się przez szparę szerokości dłoni Kay, biegnącą od podłogi do sufitu. Dotarła do drzwi mieszkania, przekreśliła gałkę i pociągnęła. Nie chciały się otworzyć. Kiedy w końcu udało jej się wyciągnąć je z powyginanej futryny, krzyknęła przerażona, bo zawisła na skraju siedmiometrowej przepaści. Klatka schodowa i zewnętrzna ściana kamienicy zniknęły. Nic nie dzieliło Kay od wysokiego budynku po drugiej stronie ulicy, a właściwie od betonowej skorupy pozbawionej okien i dachu. Ulica w dole zamieniła się w gruzowisko pełne cegieł, rur, fragmentów mebli, dziecięcych zabawek. W kilkunastu miejscach płonął ogień, nad którym unosiły się wstęgi czarnego dymu.

W pobliżu stał już wóz strażacki; załoga rozkładała drabiny i rozwijała węże pośrodku czegoś, co przypominało krajobraz po bitwie – tu i ówdzie leżały nieruchome zakrwawione ciała

ofiar; ci, którzy mieli nieco więcej szczęścia, siedzieli na ziemi, oszołomieni, z pochylonymi głowami. Pracownicy obrony cywilnej w hełmach kręcili się między nimi, udzielając pomocy; dwa trupy odciągnięto już na bok i przykryto, a z pobliskich ulic nadciągało coraz więcej gapiów. Kay, trzymając się mocno futryny, wychyliła się najdalej, jak mogła, i zaczęła wzywać pomocy.



Jak wynika z dokumentacji rady miejskiej Londynu, pocisk nazwany „rakietą z Warwick Court” zabił sześć osób i ranił dwieście dziewięćdziesiąt dwie, w większości przechodniów z Chancery Lane, trafionych odłamkami gruzu. Wśród zabitych znajdowali się trzydziestoletnia pielęgniarzka, Vicki Fraser, dziewiętnastoletnia sekretarka kancelarii adwokackiej, Irene Berti, a także Frank Burroughs, sześćdziesięcioletni inżynier ciepłownictwa. Nieliczne fotografie dopuszczone przez cenzurę do publikacji ukazywały drabiny strażackie przystawione do uszkodzonego budynku, który w górnej części został całkowicie zniszczony, oraz dziwnego niskiego i wychudłego mężczyznę po pięćdziesiątce, w czarnym płaszczu i kapeluszu filcowym, który przeciskał się między stertami gruzu. Był to lekarz, który przypadkiem znalazł się w pobliżu i odważył się wejść do niestabilnej ruiny. To właśnie on po pięciu minutach rozpaczliwych nawoływań Kay wspiął się po drabinie i przeszedł za dziewczyną i ratownikami do wnętrza mieszkania.

Kiedy znaleźli się w sypialni, lekarz uprzejmie zdjął kapelusz, jakby składał zwykłą wizytę domową, i spytał cicho ze szkockim akcentem:

– Jak on się nazywa?
– Mike – odparła Kay. – Mike Templeton. Pułkownik lotnictwa Templeton – dodała, by traktowali go z odpowiednim szacunkiem.

Lekarz podszedł do łóżka.

– Czy ma pan czucie w nogach? – spytał.

Jeden ze strażaków zwrócił się do Kay:

– Powinna pani już stąd wyjść. Zajmiemy się nim.

– A co z gazem? – spytała.

– Zakręciliśmy główny zawór.

– Wolalabym zostać.

– Nie ma mowy, przykro mi. Zrobiła pani, co mogła.

Inny strażak ujął ją pod rękę.

– Chodź, kochana. Nie warto się kłócić. To wszystko zaraz runie.

– W porządku, Kay! – zawołał do niej Mike. – Rób, co ci każą.

– Dopilnuję, żeby odpowiednio się nim zajęto, pani Templeton – obiecał jej lekarz.

„Pani Templeton”! Zapomniała, że w ogóle nie powinno jej tu być.

– Oczywiście. Przepraszam. Rozumiem.

Była w połowie drogi do wyjścia, gdy Mike zawołał:

– Lepiej zabierz swoją walizkę!

O tym też całkiem zapomniała. Walizka wciąż leżała na otomanie przy łóżku, pokryta tynkiem i pyłem, niemy świadek ich niewierności. Czekając na pomoc, Mike pewnie się tym martwił. Kay zrzuciła z walizki tynk, zamknęła zatrzaski i przeszła za strażakiem do wyjścia. Mężczyzna stanął na

pierwszym szczeblu drabiny, wziął od Kay bagaż i rzucił go do kogoś na dole. Potem pokonał kolejne dwa szczeble, wyciągnął do niej rękę i pokazał, by szła za nim. Musiała zamknąć oczy, gdy drabina się wygięła i zakołysała pod ich połączonym ciężarem. Strażak chwycił ją mocno w talii.

– Chodź, kochana, dasz radę.

Schodzili powoli, przystając na każdym szczeblu. Gdy dotarli do najniższego, Kay zemdląła.

Kiedy odzyskała przytomność, klęczała przed nią pielęgniarka, która trzymała ją pod brodę i smarowała jej skroń jodyną. Kay jęknęła i spróbowała się odsunąć, lecz dłoń pielęgniarki zacisnęła się nieco mocniej.

– Wszystko w porządku, kochanie. Nie ruszaj się. Już kończę.

Coś ostrego wrzynało się Kay w plecy i kiedy została już opatrzona, odwróciła głowę i zobaczyła, że siedzi oparta plecami o tylne koło wozu strażackiego. Do uszkodzonego budynku przystawiono jeszcze dwie drabiny, więc na szczycie wszystkich trzech stało teraz w sumie trzech mężczyzn w stalowych hełmach, którzy podtrzymywali nosze opuszczane przez kilku ich kolegów ze zrujnowanego mieszkania. Pielęgniarka spojrzała w to samo miejsce.

– To twój? – spytała.

– Chyba tak.

– No to chodź.

Podawał Kay rękę i pomogła jej wstać. Kiedy przystanął obok drabiny, objęła ją ramieniem.

Nosze przesuwali się w dół powoli; mężczyźni pokrzykiwali do siebie, nakazując jeden drugiemu, by mocno je trzymać. Kay poznała Mike'a po czarnych kręconych włosach. Był owinięty

kocem. Gdy nosze dotarły w końcu na dół, odwrócił się i zobaczył ją. Na jego twarzy malował się grymas bólu, zdołał jednak wysunąć rękę spod koca pokazać jej podniesiony kciuk. Ujęła jego dłoń.

– To był V2? – spytał.

Skinęła głową.

– Cholernie zabawne – rzucił, uśmiechając się słabo.

– Dokąd go zabierają? – zwróciła się Kay do pielęgniarki.

– Do Barts. Możesz z nim jechać, jeśli chcesz.

– Chętnie.

Mike cofnął rękę – nagle wydał jej się dziwnie odległy, jakby była dla niego kimś całkiem obcym – i wbił wzrok w niebo.

– Lepiej nie – powiedział.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).